

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 28 Lutego 1914 roku

No 9.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

Powieść z obcego życia.

9 — Nie waź się nigdy chwalić przedemną, że to lub owo powiodło ci się, że masz szczęście w interesach. To fałsz! Niema szansy, niema pechu! Jest praca, wyrachowanie, geniusz. Wiesz, co rzekł był Napoleon na schyłku kariery, kiedy po klęsce przemawiał do Polaków w Warszawie: „Fortuna nic nie daje, sprzedaje wszystko!” I pamiętaj, co wyrzekł jeszcze: „Ludzie dużo mówią o mojem szczęściu — ale ja sam wiem, ile mnie ono kosztowało...”

Listy jego do syna były zawsze długie i nudne. Shurman lubił cytaty i sentencje. Był czas, że chciał nawet, wzorem paru potentatów amerykańskich, wydać uczonego traktat o roli wielkich fortun w najbliższym okresie. Spostrzegł jednak, że brak mu wykształcenia, a nie chciał swoich idei polecić do opracowania płatnemu uczonemu.

Wśród tych idei były zresztą i takie, które wykladał tylko swemu synowi, były inne, które tał w głębi siebie.

W ciągu długich lat szalonej pracy i niezmiernych wysiłków, w doli i niedoli, a potem już wśród niepowstrzymanego rozpędu ku milionom, popołu z uwielbianym przez siebie starszym bratem, wyhodowali w sobie olbrzymi i niemilosierny, dziki a mądry pogląd na świat i na sprawy ludzkie. Zawarli bez przysięg sojusz i w ciągu kilkunastu lat byli jakby jednym człowiekiem.

Ten człowiek o podwójnym mózgu zamierzał podbić świat. Fortuna braci Shurmanów rozrastała się tak szybko, że budziła zdumienie nawet tam, za oceanem, gdzie pieniądz płodzi się potwornie, gdzie w grze o bogactwo, ze splecionej, beładnej gęstwy wiecznej walki co chwila wyjada ktoś, depcąc po trupach i ruinach, z kolosalnym łupem, na którym funduje nową, nie istniejącą jeszcze do wczoraj potęgę.

Kiedy Shurman grzebał ukochanego brata, zdawało mu się, że chłowa do grobu wszystkie olbrzymie nadzieje życia, cały cel i rację swego istnienia. Los brutalnym szarpieniem zahamował go w rozpędzie ku podbojowi świata. Stał — spojrzął w trupie oblicze brata i wszystko, ku czemu dążyli obadwaj, wydało mu się nonsensem. Absurdem były głębokie, niezbite prawdy, do których doszli, obłędem nadludzka praca, na którą się dobrowolnie skazali.

Śmierć była od nich mocniejsza. Ślepy los obalił gmach, który już dumnie wyrastał z przepotężnych, niezłomnych fundamentów. I Shurman wyrzekł się wszystkiego. Będzie żył, jak inni, nie nie stworzy i przeminie bez śladu. Wraz ze starszym bratem odeszła, zda się, dusza wielkiego zamiaru, wszelka ku niemu podnieta i wszelka nadzieja. Pozostał marny, martwy człowiek, zwyczajny finansista — milioner.

Nazajutrz po pogrzebie siedział Shurman w swoim gabinecie do pracy. Nie przyjmował nikogo. W wielkim salonie było pusto. Surowe umeblowanie biurowe, półki pełne rejestratorów, archiwum pełne wielkich planów i tajemnic domu. Olbrzymie mapy południa, gdzie czerwonymi plamami znaczyły się posterunki już zdobyte, a niezliczoną siecią czarnych grubych cyfr wytknięte były punkty do opanowania — wszystko zdawało się szczydzić.

Po tamtej stronie kolosalnego stołu — pustka, nicość i żaloba były od głębokiego, skórzanego fotela. Tam było miejsce brata. Stamtąd płynęło światło i siła. Tam rodziły się wielkie, cały świat ogarniające idee. Zuchwałę plany, niepowstrzymany rozpęd ku wyżynom, a w chwili zlej, po przegranej bitwie — męstwo i wiara nigdy nie ugięte.

Shurman zapatrzył się ponuro w puste miejsce. Patrzył długo, aż

bystrze, zuchwałę, zbójcekie oczy zaszyły mu łzami. Płakał z żalu, płakał nad sobą, nad swoim osamotnieniem i nad ruiną szczęścia całego życia.

Aż spotkały się jego oczy ze spojrzeniem brata. Wczoraj pochowany Robert Shurman siedział na swoim miejscu, pogrążony w pracy. To samo wysokie, jasne czoło i energicznie odrzucone na bok jasne, siwiejące włosy. Każdy rys znajomy, żywy i ten sam. Robert pisał coś szybko.

Lecz co chwila oczy jego odrywały się od pracy i rzucały ku bratu krótkie, jak błyskawica, spojrzenie. Wreszcie wparł w niego mądre, głęboko sięgające spojrzenie, pełne potęgi i nakazu.

I Tom Shurman poznał do samej głębi, co było na dnie duszy brata. Odkryte mu zostały wszelkie jego tajemnice. Długo, długo trzymały go w uwięzi oczy, patrzące z za świata. Aż znikło wszystko.

Tom Shurman podniósł się jeszcze potężniejszy i widzący już wszystko. Jąkdyby zmarły brat przekazał mu to, co był zabrał ze sobą, jąkdyby geniusz jego wydarł się z dalekiej nicości i przelał się w rodzonego brata.

Piorunująca zgroza tej zjawy i tajemne, jemu samemu wiadome jej znaczenie były w jego duszy zawsze gdzieś obecne. Przywoływał je w godzinach wyczerpania, wśród napięcia walki, w niepowodzeniach.

I pozostał samotny. A na ścianie biura, nad miejscem opuszczonego przez brata, zawiesił wielki portret zmarłego, ku któremu poglądał, gdy poczuł zwyczajny, ludzki ból swego osamotnienia.

Ratując siebie, cel swego życia i wielką ideę brata, wstąpił w długą, zajadłą i bezwzględną walkę z rodziną zmarłego, z jego żoną, kobietą głupią, i z ludźmi, którzy ją opanowali. Wreszcie, po paru latach walki i głośnych procesów, opieka nad małoletnią Jenny wydarła Shurmanowi miliony brata, dwie-trzecie kapitału firmy „Shurman Brathers”.

Shurman przycichł i pracował. Lecz nigdy nie pogodził się z krzywdą. Wiedział o wszystkim, co się dzieje w domu bratowej, wiedział, gdzie i jak pracują odebrane miliony. Aż po latach dziesięciu, po śmierci bratowej, kiedy Jenny, młodzieńka, zaledwie pełnoletnia panna, zaczęła nagle rządzić się w odziedziczonej fortunie, wycofywać się po waryacku z najlepszych przedsięwzięć i trwonić pieniądze — uczynił skok tygrysi.

Procesy, kampanie prasowe, oszczerstwa. Jenny była obłąkana, ale nazbyt wielu ludziom zależało na tem, żeby Shurmana trzymać zdaleka od jej pieniędzy. Poruszył Shurman niebo i piekło, sypał złotem, wazył się na wszystko. I byłby zwyciężył, gdyby nie to, że opinii spodobało się widzieć w Jenny — ofiarę. Była piękna, młodzieńcza, jej fotografie, umieszczane po wszystkich pismach, budziły dla niej dziwną sympatię. Opisy jej życia, jej domu, jej duszy, łgarskie fejletony, głupie poematy na jej cześć — wreszcie tłumne mityngi, zwoływane ku obronie „naszej Jenny“ przez feministki we wszystkich Stanach, przeważały szale.

Shurman ustąpił, ale się nie poddał. W tajemnicy pracował nad przyszłym zwycięstwem. Pozostawała mu już tylko jedna droga. Zważywszy wszystko, wszedł na tę drogę krokiem pewnym, niezłomnym.

Chwilami — bywało to najczęściej jakiejś nocy, bezsennej z wyczerpania — wyrastał przed nim obraz z dawnych lat znajomy. Robert trzyma na kolanach małą Jenny i wpatruje się w nią okiem tkliwym i rozkochanym. Dla niej jednej i jedynej na świecie miał to spojrzenie.

Ale Shurman wiedział, że ma prawo, swoje prawo czynić, jak zamierzył. Sprawa była wyższą nad wszystko. Pamiętał tę wielką prawdę, która często powtarzał był w życiu genialny Robert:

„Cel prawdziwie wielki musi się liczyć tylko z prawem własnego pochodzenia. Z tem jednym — a poza tem z niczem więcej!“

To też z pogodą i zawsze z tem samym ukochaniem spoglądał na portret brata. Zrzadka rzucał mu w myśli słowa:

— Sam wiesz, że to nic! Ona i tak skazana. Ona i tak niepoczytalna. Czas wrócić twoje dzieło z obłąkanej drogi. Na świecie nie może panować nonsens.

W niezmordowanej pracy nad naprawą tego nonsensu znalazł się niechęcący w Zermatt. Mistress Brigs, która od pięciu lat była przez niego płatną, jedyną na świecie osobą, od której zależało wszystko, dała mu do zrozumienia, że moment przelomowy zbliża się, a raczej — może przyjsć każdej chwili. Może i nie przyjsć zupełnie.

Kobieta-dyabeł, „wiedźma meksykańska“, jak ją przezywał Shur-

man, igrała z nim od paru lat, wyciągając od niego, oprócz stałego haraczu, wielkie sumy przy lada sposobności. Każdą rozmowę z nią musiał grubo opłacać. Najgorsze było to, że był na jej łasce i niełasce. Miała ona w swoim posiadaniu listy od jego adwokata, których nie mógł sobie wybaczyć — listy nieostrożne, gdzie nie było, oczywiście, nic wyraźnego, ale, podane do publicznej wiadomości, obciążałyby go w opinii nazawsze.

Mistress Brigs miała jeszcze w odwodzie nieszczyśnego melancholika, Roberta Courtney'a. Razem miało to ostatecznie kosztować trzy miliony. Ale Shurman dołożyłby jeszcze, byleby prędzej zakończyć całą aferę i już zapomnieć o niej.

Wzdychał do tej chwili wyzwolenia. Od tej chwili potęga jego zaczęła niepowsztymanie, własnym ciężarem przec przed sobą i ścierać z powierzchni ziemi resztę współzawodników.

Zbliża się termin otwarcia kanału panamskiego, nowa era dla południa stanów — wyraźny znak opatrności, która roztworzyła przed jego karierą kolosalne horyzonty i postawi jego dom na wyżynach, skąd cały świat ogarniać będzie można, a jego — Toma Shurmana — posadzi na tronie.

Od dziesięciu lat ku temu epokowemu zdarzeniu zmierzała taktyka Shurmana i obroty całej armii jego ludzi. Ciężka była walka w tej dziedzinie, bo tamże cisnęły się kapitały i w tym samym kierunku pracowały tęgie głowy. Ale niebawem na szali legnie swoim potwornym ciężarem miliard Jenny, uwolniony z bezczynnego zamknięcia, legnie w razie potrzeby drugie tyle kredytu. Odsłoni się olbrzymie wolne pole.

Idea braci Shurmanów okaże ludzkości swoje straszne, dzikie, mądre oblicze.

To też Tom Shurman z pogardą spoglądał na góry, na elitę towarzystwa, goszczącą w „Astoria Palace“, na ich ekstrawagancje, zbrodnie, głupstwa. Śmiesznym mu się wydawał nawet wszechświatowej sławy naszyjnik z pereł miss Slazenger, wartości czterech milionów.

VI.

Robert Courtney codziennie miał odjeżdżać. Po każdej bytności swojej u Jenny zarzekał się, że nie pójdzie tam więcej. Bywał codziennie i spędzał u niej długie godziny.

Shurmana, który wiedział o wszystkim z codziennych raportów wiernego Patricka, sługi Jenny, zdjęło to straszny niepokojem.

Napróżno jednak domagał się widzenia z mistress Brigs. Nie odpowiadała zupełnie na jego wezwania. Shurman dusił się z wściekłości.

— Co ona knuje? Czego jeszcze

odemnie chce? Poco mnie drażni, kiedy już wszystko umówione?

Wierny Patrick opowiadał, jak dobrze bawi się miss Jenny z sir Robertem, jak czytają razem, jak patrzają przez teleskop na Góry i na księżyc, a czasami sir Robert siada do fortepianu i gra do późnej nocy jakieś bardzo smutne rzeczy...

— Ech, Patrick, niechby się już raz pobrali. Byłoby jej stokroć lepiej...

— Nie, panie. Nasza panna za nikogo za małż nie pójdzie...

— To źle.

Shurman w oczach starego sługi uchodził za kochającego stryja, który chciał mieć ciągle wiadomości o chorej i niewdzięcznej synowicy, z którą go ludzie poróżnili. Przez pamięć dla brata — rozumiał Patrick, który dobrze znał wielką miłość wzajemną braci. Z tego tytułu opisywał Shurmanowi wszystko, co się działo w domu, i przyjmował od czasu do czasu w podarunku niewielki czek.

Służba Jenny nienawidziła despotycznej i twardej meksykanki, która od kilku lat rządziła domem. Patrick skarżył się na nią wielokrotnie.

— Gdyby sir Robert był u nas panem, wszystkim w domu byłoby lepiej, a panięce przedewszystkiem. Mistress Brigs opanowała ją, jak małe dziecko. Na jedno pozwala, na drugie nie. Gdyby się ona postarała, panięca przyjąłaby sir Roberta... Ale jej to przecie nie na rękę.

Shurman gawędził od niechęcia ze starym sługą i wyciągał od niego wszystko, co chciał.

— A jak Jenny teraz ze sercem? Lepiej? Gorzej?

— Wiele lepiej, chwala Bogu. Nigdy jeszcze nie siedzieliśmy tak długo w górach, a jakoś nic. Podobno mamy tu zostać jeszcze cały miesiąc. Niestychane rzeczy!

— Dobrze — pomyślał Shurman. — To i Robert będzie tu z wami przez ten cały czas?

— Lada dzień ma odjechać.

— Lada dzień, a ani się rusza...

— Młody, strasznie zakochany...

— Szkoda chłopca. I dziwna rzecz, czemu go ona nie chce? Od pięciu lat nie chce!

— Bardzo go lubi, jeżeli z nim chce razem przebywać. Przecież od trzech lat, jak tu żywy stoję, prócz niego jednego z żadnym mężczyzną panięca nie powiedziała dwóch słów. Ale to nic. Nasza panna za małż nie pójdzie.

— To z choroby.

Stary westchnął ze swojego miejsca od progów, gdzie stał z należnym uszanowaniem. Shurman dostrzegł jednak dziwny wyraz na jego twarzy. Patrick potrząsnął głową i uśmiechnął się z goryczą.

— Czemu nie mówisz? Mów, co wiesz!

DCN.

Legenda o królu.

SCENA 7.

OLBRACHT (*się rozśmiał*).
Mnich się strzęsie po próznicy.

KRYSTA (*się zdziwiła*).

OLBRACHT.

Dziś tu, jutro do stolicy,
cóż mnie opat, klasztor. Tyle,
żem chciał ukraść ona chwile,
z tobą, dziewczko, ostać sam.

KRYSTA.

A ta sprawa, to zlecenie?

OLBRACHT.

Zadnych zleceń, wszystko kłam!
Nie bądź gniewna.

Dziś tu, jutro precz pojedę,
więc ukułem w sercu zdradę,
ażebych z tobą, królewno...

KRYSTA.

Mądry wybieg.

OLBRACHT.

Wszak fortuna
temu złote żdziera runa,
kto ma lekki dowcip w rodzic
i w miłosnej też przygodzie,
trza wykretem wspomódz losy.

Daj mi ręce białe twoje.

KRYSTA.

Nie ślubujecie wy mnie, panie,
bo we wieczność ślub ostanie.
Tak jakbyście ślubowali,
utopionej na dnie fali,
lub zamkniętej w ciemnej celi;
tak, jakbyście ślubowali
dziewce, którą kładą w bieli
na leżysku snu, do trumny.

OLBRACHT.

Cóż to jest? Na krwawe luny,
na słońce, co kona w pasie,
na wierzchołki drzew, co gną się
w przedwieczornym słabym wietrze,
muszę wiedzieć tajemnicę!

KRYSTA.

Pojrzyj w dal, hen przez powietrze
wzrokiem leć, skąd płyną wiatry;
Cóż tam widzisz?

OLBRACHT.

Skał wierzenie.

KRYSTA.

Jeszcze dalej.

OLBRACHT.

Szczyty.

KRYSTA.

Tatry!

OLBRACHT.

Węgierską nam znaczą granice.

KRYSTA.

Chcesz odgadnąć dolę naszą,
na węgierskie patrzaj szlaki.

OLBRACHT.

Hej, mamidło! jakbym śnił,
prawisz mi, jakby o cudzie.

KRYSTA.

Z Polski królem dziad mój był
na zamku węgierskim, na Budzie!

Rybałci, panie, dziś śpiewają o tem
i szumi w górach jedlin ciemny las.

OLBRACHT.

A ty z tych włosów dwukośnym zaplotem
stoisz przedemną świeżych pełna kras.

Próżno mnie cudnej baśni opowieścią
Chcesz zmanić, zmąsły bym stracił wśród
złud.

Nie — jako wino jest puharów treścią,
tak wypełnieniem życia miłość, cud.

KRYSTA.

Słów tych wybrednych słodką małmazją
z waszych ust inne niechaj pija.

Dzieckiem na rękę nieśli mnie rycerze
do chrztu świętego, biskup przy chrzciel-
nicy
w świętym ornacie wodą zlewał czoło,
a rodzic ucztę wyprawiał w stolicy,
na której w złotych konwiach pili wino.

Dziś pochowane są pod tą gontyną
dawne świetności, mur zamku je cieni,
lecz gdybyś czerpnął wody do garścieni,
tej, co się błyszczy w dole rzęsą krwawą,
to krew by skrzepła z wody na twej dłoni
i rosą byś się, panie, zbrukał krwawą.

OLBRACHT.

Wszakóż godziny żywota
kiedyś, jak liście, opadną
w ogromnych wydarzeń lesie...
Więc pocóż w mroczne przyciesie
zstępować razem z duchami.
Młodość imieniem cię woła,
żyć albo nie żyć zgoła,
lecz rozkosz szklenicą pić,
gdy już wezwano do stoła
i wieniec różany wić,
nim kwiaty powiedną w grzędzie.

KRYSTA.

Pięknie gadacie.

OLBRACHT.

Nie będzie
nigdy raz wtóry, co było,
każdy jest moment mogiła,
grobowcem jest każda chwila.
Więc trzeba zaglądać do dna,
w czarę młodości wiosnianą,
aż nie okaże się pusta.
Uścisków jesteś głodna,
więc ustom podaj usta;
bądźże dziś moja, dziewczyno.
(*obejmuje ją w uścisku*).

KRYSTA.

Upojne ono, jak wino.

OLBRACHT.

Woniejesz czarem i wiosną.

KRYSTA.

Skąd ja wam jest tak miła?

OLBRACHT.

Tyś, dziewczko, duszę zwoliła.

Tyś mnie uwiodła.

KRYSTA.

Czemże?

OLBRACHT.

Jak jodła,
co się pochyła nad wodą

strumieni.

Twe ciało jarne i młode
chyli się do mnie, szepcząc: pójdź,
dam żądom ochłodę,
me ramię niechaj ból i tęskność twą ocieni.
Tyś mnie uwiodła
nie słowem — nie, lecz drżącym łonem,
co woła tętnem krwi, że samo jest już
grzechem.

Tak i tym śmiechem,
wdzięcznym kibici twej ku ziemi wolnym
skłonem.

KRYSTA.

Jeśli wy zawdy wszystko tak na świecie
na swoją wolę skierować umiecie,
tedy wam świat
do nóg padnie kiedyś, zwałon mocą.

OLBRACHT.

Dziś jeden tylko pragnę zerwać kwiat,
i wiedz, że zerwę nocą —
gdy miesiąc skapie wszystko w płynnym
złocie,

gdy się zasłucha ziemia w gwiazd dygo-
cie,

gdy wierchy będą tajać w bladym śnie,
ty, na leżysku wsparta, czekaj mnie.

KRYSTA.

Zatrzasnę skoblem drzwi, na piersi
schowam klucze.

OLBRACHT.

Zatrask w mych rękach przysnie.

KRYSTA.

O pomoc wołać umię.

OLBRACHT.

Nie zwofasz ty nikogo, gdy głos uści-
skiem słumię,

gdy żądza wstyd przesłoni,
niczego nie poskapisz.

KRYSTA.

Progów mych nie przestąpisz.

OLBRACHT.

Coś dudni.

KRYSTA.

Tentent koni.

Słysz, brat mój wraca z klasztoru.

OLBRACHT.

Gdybym był wiedział, że tak prędko goni,
Do Rzymu stałbym go zaś po papieża.

KRYSTA (*z uśmiechem*).

Z opatem teraz będziecie gadali.

OLBRACHT.

Niech jasny piorun tego mnicha spali!

SCENA 8.

Wraca Strzemion z Jaszkiem
i Opatem. Między Opatem a Ol-
brachtem wywiązuje się gwałto-
wna rozmowa i dochodzi do kłótni
o władzę królewską i prawa kla-
sztorów.

SCENA 9 i 10.

Krysta rozmawia ze służebną
o rozkoszy miłowania. Jaszko
przestrzega Strzemiona, by nie
dopuścił do zwady między Opa-
tem a Olbrachtem.

SCENA 11.

(*Olbracht wychodzi, a Jaszko cofa się do
izby*).

OLBRACHT (*do Strzemiona*).

Z księdzem opatem pić, to ja nie czuję
żadnej rozkoszy, choć z cennego dzbana,

ni też mnie misa cieszności polewana,
gdy białogłowa potraw nie osłodzi
spojrzeniem.

STRZEMION.

Ano, siestrze się nie godzi
tak z rycerzami ucztować samotnie.

OLBRACHT (*siada na ławie*).

Czemu za męża, panie, jej nie dacie?

STRZEMION.

Bo ślubowała czystość.

OLBRACHT.

Ale komu?

STRZEMION.

Duchom, co w onym zamieszku domu,
którzy na wielkich polach w krwi szkar-
łacie

życie pozbyć musieli dla wiary.

OLBRACHT.

Wianek dziewictwa rzucony na mary,
zeschnięty w trumnie ojców na popioły,
taką uciechą ma być dla rycerzy
zmarłych?

STRZEMION.

A ślub? W śluby kto nie wierzy,

Duch się upomni o prawa,

a słońce umarłe i sława,

skrzydłata orłopióra.

Tu rozumem nie poradzi,

tutaj myśl nic nie wskóra;

trza czekać.

OLBRACHT.

Na kogo?

STRZEMION.

Na króla.

tego, co zginął pod Warną.

OLBRACHT.

Życia pozbył.

STRZEMION.

Ze światem krótka rozłąka

rycerza bez zmyły i winy —

czeka sposobnej godziny.

Nasz dziad podawał mu strzemię

przed bitwą.

Król się krótką pokrępił modlitwą

i rzekł: gdy zginę

duchem, upiorem czy marą,

przyjdę do ciebie,

siądź u wrót na kamieniu...

i czekaj...

Tedy czekamy...

w trzecim już pokoleniu.

OLBRACHT.

Dziwnie powiadasz powieści,

czary chowają te góry;

wszędy cud jakiś zaklęty.

Wszakóż i Chrobry, Polszczy król wtóry,

z wojskiem tu leży zaśnieży.

STRZEMION.

Gdzie skalne granie, turnice,

podniebne Boże stannice,

orły się gnieźdzą i króle

ziemskiej wyczuci korony.

OLBRACHT.

Klechdy!

STRZEMION.

Zjawy wieczne żywe,

nad skałami wiszą trony,

chmur rumaki wicherzą grzywę,

żagwi się obłoków płomień.

OLBRACHT.

Widmo snów i oszołomień.

STRZEMION.

Wy, panie, coście są blizki królowi,

rzeknijcie mu o tem słowo.

OLBRACHT.

O tej baśni?

STRZEMION.

O tym widzie;

na turka z wyprawą krzyżową

niech idzie.

Jak woła ten, co się jawi

z cienia tych smreków i sosen.

Ileż minęło już wiosen,

gdy stawał mężnie z tatarzy,

Niech nie śpi z dziewczkami na puchu.

Mówcie o tym Królu Duchu.

OLBRACHT.

A jeżeli nie da wiary?

STRZEMION.

To go sprowadźcie tu!

Jemu się okaże...

stryjec rodzony...

OLBRACHT (*z lękiem*).

Nie, nie. Dość mar...

Czekacie a przyjdzie godzina pomsty.

wždy wyrozumieć nie mogę.

na co ma czekać dziewczyna,

więziona w tym kasztelu,

gdzie przy każdym w murach zrębie

czepia się wżroczne zjawisko,

zali macie moc...

STRZEMION.

Jak gołębie

białe, co stróżują strzesze,

tak i ona, duchów tych kapłanka,

niech przy ognisku mem ostanie biała.

Wszak ślubowała

do dni pomsty ziemskim miłowaniem

nie splamić serca.

OLBRACHT.

Z waszej namowy,

ale zamek ten grobowy

duszę jej czyni rzewną;

gdzie ona teraz?

STRZEMION.

Śpi pewno.

OLBRACHT (*wstając*).

Niechże Morfeusz ją pieści.

STRZEMION.

Kto taki?

OLBRACHT.

Bożek skrzydłaty,

nie znacie starych powieści

o łogach greczyńskich, co kąpią

się w słońcu, zrywając łąk kwiaty,

a z góry Olimpu, gdy stąpią,

to w wieńcu różanym na głowie...

STRZEMION.

Tutaj zachodzą grekowie

z towarem od Czarnomorza.

OLBRACHT.

A jedna wśród nich dziewczka hoża,

rozdziana z szat, całkiem bez sromu,

miłowań rozkosznych patronka.

zrodzona z mórz piany i słońka,

niech dzisiaj zagości w tym domu.

STRZEMION.

Kończmy wieczerzę, pijcie z kruży, a no

potem spoczniecie.

OLBRACHT.

Co słuszna, boć rano

świtaniem w drogę ruszamy.

SCENA 12 i 13.

Olbracht układa sobie schadz-
kę z Krystą.

DN.

Hall Caine.

Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

9

Powieść w 3-ch tomach.

Rozdział XVII.

W tydzień potem zamieszkałam
z ojcem w hotelu „Europa“ na rogu
Piazza di Spagna.

Ojciec okazywał się dla mnie
lepszym, niż kiedykolwiek, ale nic
nie mówił o swoich planach co do
mojej przyszłości. Domyśliłam się
jednak, że pobyt nasz w Rzymie jest
związany z temi planami i że zacho-
dzą co do nich jakieś trudności reli-
gijnej natury, bo ojciec miał wciąż
do czynienia z księżmi, a biskup na-
szej dyecezyi prawie od nas nie wy-
chodził. Usłyszałam też pewnego ra-
zu, jak mówił:

— Kościół nie pochwała takich
małżeństw, z których, zdaniem Jego,
wynikają zawsze najgorsze skutki
tak dla męża, jak dla żony. Jednak-
że, zważywszy, że w danym wypad-
ku rodzina pana młodego była nie-
gdyś katolicka...

Więcej dostyszeć nie mogłam.

Pozostaliśmy w Rzymie trzy ty-
godnie, widocznie czekając na osta-
teczny wynik jakichś zabiegów, a
przez ten czas ojciec zwiedzał, wraz
ze mną, zabytki starego miasta.

Ale te wspaniałe pozostałości
minionych stuleci: Forum, Koliseum,
Kampania, jej katakumby i zrujno-
wane akwadukty drażniły go tylko.

— Gdyby to odemnie zależało —
mawiał — zburzyłbym te wszystkie
trupiarnie i postarałbym się zużytko-
wać miejsce z korzyścią dla żyją-
cych.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy
ojciec mój, po wspaniałym obiedzie
wydanym na cześć kilku dostojni-
ków Kościoła, rzekł do mnie:

— Mary, sprawa jest na dobrej
drodze i mogę ci powiedzieć, jaka
przyszłość obmyślamy dla ciebie:
Zostaniesz żoną młodego lorda Raa.
Aczkolwiek w zasadzie byłam
przygotowana na małżeństwo, wi-
adomość ta uderzyła we mnie, jak
piorun. Narazie straciłam wszelką
władzę myślenia.

Przez całą bezsenność noc i część
następnego dnia nie mogłam otrzą-
snąć się z tego okropnego wrażenia.
Wszystkie moje dawniejsze obawy
świata i chęci ukrycia się przed nim
za kratą klasztorną opadły mnie na-
nowo. Toteż w pół świadomości, w pół

bezwiednie, gdy zbliżała się godzina niecierpów, poszłam do kościoła tego klasztoru, którego przełożoną była obecnie Wielebna Matka.

Uklękłam tuż przy brązowej kracie, oddzielającej pobożnych od Sióstr; gdy te weszły korytarzem z głębi, śnieżno-białe od stóp do głów, z gęstymi zasłonami na twarzach, poznałam wnet Wielebną Matkę, i po ruchach, i po tem, że, jako przełożona, szła na ostatku.

A gdy usiadła na swoim miejscu, najbliższej kraty, i odsłoniła twarz, co za jej przykładem uczyniły i inne Siostry, spostrzegłam, że ręce jej, trzymające różaniec, zdrząły, po czem odgadłam, że zobaczyła mnie także i poznała.

Wszedł ksiądz; zaczęło się nabożeństwo. Siostry śpiewały, a dusza moja wznosiła się wzwyż na ich słodkich głosach, niby na anielskich skrzydłach.

Nigdy przedtem życie zakonne nie przemówiło do mnie z taką wprost magnetyczną siłą.

— Porzuć świat! — zdawało się szeptać mi do ucha. — Posłuszeństwo Ojcu Niebieskiemu znosi wszelkie obowiązki względem ziemskiego. Zostaw to, czego się lękasz, za sobą, a znajdziesz tu spokój, światło i miłość.

Odśpiewano *Tantum ergo*; ksiądz odszedł od ołtarza; mniszki pozapuszczaly zasłony i jedna po drugiej znikły, niby białe cienie, w mrocznych głębiach korytarza. Zakrystyan pogasił światła, a ja klęczałam wciąż, tuląc płonące czoło do zimnej kraty.

Wreszcie brzęk kluczy, jakimi Siostra-laiczka w czarnym habicie potrzasała u drzwi wchodowych, zbudził mnie z ekstazy.

Wstałam i, odwróciwszy się, zobaczyłam, że jakiś młodzieniec stoi za mną i patrzy na mnie z uśmiechem.

— Mally! — rzekł bardzo miękko, wyciągając rękę.

Drgnęłam na dźwięk tego głosu; jakiś dziwny prąd niejasnego wspomnienia trysnął z tych błękitnych oczu i wstrząsnął mną do głębi.

— Nie poznajesz mnie, Mally? — ponowił młodzieniec.

Uczułam jakgdyby różową zasłonę, opadającą mi na twarz i szyję. Fala ogromnej radości zalała mi duszę.

To był Jurek Conrad; wysoki, wspaniale rozwinięty mężczyzna, lecz z tym samym, co dawniej, wyrazem chłoniejącej swobody i wesółści w swych pogodnych rysach.

Wyszliśmy na placyk przed kościołem, a on rozpromieniony, nie spuszcżając ze mnie oczu, opowiadał mi, co go do Rzymu sprowadziło. „Wvkaraskał się“ właśnie z egzaminów i otrzymał dyplom, a pośłyszawszy o organizującej się wyprawie do bieguna południowego w celu zbadania źródeł wiatrów i prądów, pozyskał w niej udział w charakterze lekarza.

Przed dziesięcioma dniami opuścili Liwerpool i dziś rano zawinęli do Neapolu po węgiel, on zaś skorzystał ze sposobności, by „skoczyć“ do Rzymu, pomny na to, że jestem tu w klasztorze, choć, oczywiście, nie spodziewał się mnie zobaczyć. I oto, gdy przechodził koło tego kościoła, coś go tknęło, żeby wejść, tak sobie, bez żadnej myśli, i trzeba trafi, żeśmy się, dzięki temu, spotkali.

Jutro o drugiej musi już wyjechać do Neapolu. Cóż robić! Choć z drugiej strony cieszy się ogromnie na tę wyprawę i oczekujące go w niej przygody.

Mówił to wszystko ze słoneczną wiarą i nadzieją w dobrą gwiazdę swej przyszłości, i tak żywo przypomniał mi dawnego, czupurnego Jurka, iż rzekłam z uśmiechem:

— Więc nareszcie jedziesz na prawdziwą eksplorację?

— Nareszcie — odpowiedział. Popatrzyliśmy sobie w oczy i nagle zaśmialiśmy się oboje, stojąc na tym rzymskim placyku z takim uczuciem, jakgdyby fale naszego dzieciństwa przepływały miękko koło naszych stóp.

— A ty? — rzekł po chwili Jurek. — Zawsze ta sama. Poznałem cię natychmiast. A jednak zmieniłaś się. Tak wyrosłaś i tak... tak nadszwyczajnie...

Zarumieniłam się, a on, nie kończąc zaczętego zdania, mówił dalej:

— Więc już nie jesteś w klasztorze, jak widzę. Od kiedy?

Powiedziałam mu, że ojciec przyjechał po mnie przed miesiącem i że wracamy do Ellanu.

— A potem? Co tam będziesz robić?

Zdjął mnie jakiś nieokreślony wstyd i wybelkotałam niewyraźnie, że pójde za mąż.

— Za męża? Kiedy? Za kogo?

— Nie wiem jeszcze, kiedy, ale za lorda Raa.

— Raa? Powiedziałaś, Raa?... Za tego... Przez Boga... Nie wiesz chyba...

Urwał nagle, ja zaś odpowiedziałam mu, że nic nie wiem o lordzie Raa, bo raz tylko widziałam go na chwile przed dziesięcioma laty, i całe to małżeństwo ułożył mój ojciec...

— Raz tylko... przed dziesięcioma laty... I ojciec to wszystko ułożył?

— Tak.

Wtedy zapytał mnie, gdzie mieszkamy, i objawił chęć towarzyszenia mi do hotelu. W obeiściu jego zaszła nagła zmiana. Kilkakrotnie zaczynał coś mówić i urywał.

— Ależ chyba twój ojciec musiał wiedzieć...

— Nie pojmuję, jakim sposobem, jeżeli wie...

Nie zwracałam uwagi na te niedokończone wykrzykniki, cała przejęta tem spotkaniem, a gdyśmy doszli do hotelu, wpadłam pierwsza do pokoju ojca, wołając:

— Patrz, ojczu, kogo ci prowadzę!

Ku memu wielkiemu rozczarowaniu, ojciec przyjął Jurka bardzo sztywno i w pierwszej chwili nie poznał go nawet.

Ale i potem, gdy go sobie wreszcie przypomniał, rozmowa nie kleiła się jakoś i po kilku minutach Jurek wstał i począł się żegnać.

— Nie pojmuję, czego wy młodzi szukacie po tych bezładnych wertepach — rzekł mój ojciec, czyniąc aluzję do podbiegunowej wyprawy, o której była mowa. — Choćbyś pan odkrył oba bieguny, nie zrobisz na tem złamanego grosza. Ale to już twoja rzecz. Więc życzę powodzenia i żegnam.

Odprowadziłam Jurka do windy i umówiliśmy się, że nazajutrz o dwunastej przyjdzie zabrać mnie na przechadzke.

Biskup był tego dnia u nas na obiedzie; potem obaj z ojcem usunęli się w głąb pokoju i rozmawiali długo pocichu, podczas gdy ja patrzyłam przez okno na nurzające się w falach elektrycznego światła miasto.

Rozdział XVIII.

Nazajutrz przy śniadaniu ojciec powiedział mi, że zaszło coś nieprzewidzianego i że musimy wracać do domu bezzwłocznie południowym ekspresem.

Zmartwiło mnie to ogromnie, ale znałam zbyt dobrze mego ojca, by mu się sprzeciwić; pobiegłam więc tylko do mego pokoju i napisałam do Jurka z doniesieniem o zmianie projektów i z pożegnaniem.

Ale gdyśmy przyjechali na stację, ujrzałam go już czekającego na peronie. Ojciec powitał go jeszcze sztywniej, niż wczoraj, a biskup, który jechał z nami, zaledwie skinął mu głową. Ale on nie zwracał na to uwagi; w jego zaciśniętych ustach malował się wyraz jakiejś żelaznej stanowczości, pamiętny mi od jego chłopięcych lat. Wsiadł za mną do wagonu, podczas gdy ojciec z biskupem stali jeszcze na platformie.

— Na długo jedziesz? — zapytałam.

— Niestety, na bardzo długo... Może na pół roku, może na rok... Wołałbym wcale nie jechać.

Zdziwiło mnie to i zapytałam, dlaczego: on jednak nic na to nie odpowiedział, tylko rzekł:

— Ale chyba nie pójdziesz za męża tak w te pedy?

Odpowiedziałam, że wszystko będzie zależało od mego ojca.

— Ha, w każdym razie, zobaczysz sama i usłyszysz niejedno, a może wtedy...

— Ja przecież nie mam swojej woli — odrzekłam nieśmiało i ogarnęło mnie jakieś upokarzające poczucie kobiecej bezradności, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyłam.

— Napisze do twego ojca — rzekł Jurek. W tej chwili ozwał się

dzwonek, a ojciec mój wsiadł do przedziału, mówiąc:

— No, młodzieńcze, o ile nie chcesz, by cię zawieźli pod Biegun Północny, zamiast do Południowego...

Nie troszcz się pan o *mnie* — odparł Jurek. — *Ja* sobie dam radę.

Musiąco być coś osobliwego w jego tonie, bo ojciec i biskup spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

Wtem dzwonek zajęczał po raz drugi, lokomotywa zaczęła sapać a Jurek zeskokczył na platformę, wołając do mnie: „Do widzenia! do widzenia!”

I stał z odkrytą głową i tak dziwnie pobladał i znękaną twarzą, że raptem coś mnie ścisnęło za gardło.

Było mi bardzo smutno przez ten pierwszy dzień podróży. Przywiązałam się do mojej przybranej ojczyzny w ciągu tych dziesięciu lat wygnania z rodzicielskiego domu i zdawało mi się, że już nigdy nie zobaczę mojej pięknej Italii, skapaniej słońcu i uwiecznionej kwiatami.

A przytem trapiła mnie myśl, czemu Jurek tak się widocznie zmartwił mojem projektowanym małżeństwem i czemu, jeśli miał coś powiedzieć memu ojcu, nie uczynił tego.

I była jeszcze jedna przyczyna mojej melancholii, z której nie zdawałam sobie sprawy, mianowicie ta, że, jak w każdym dziewczęciu, nieświadomem jeszcze miłości, połowa mojej istoty pogrążona była w uśpieniu; ta połowa, która każe kochać życie i czyni świat pięknym.

I pomyśleć, że Jurek Conrad był tym jedynym człowiekiem, który mógł obudzić moje uśpione serce! Że jedno jego słowo, jedno spojrzenie, jeden uśmiech mogły były zmienić cały bieg mego życia, i że on...

Ale nie, nie będę o nim myśleć z wyrzutem. Widocznie tak było sądzono...

A jednak — a jednak...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

Moje małżeństwo.

Rozdział XIX.

Pomimo pospiechu, z jakim opuściliśmy Rzym, podróż nasza odbywała się wolno i po tygodniu dopiero zawinęliśmy do Ellanu. Przez ten czas otrząsnęłam się z przygnębienia i dygotałam całą z ciekawości i obawy na myśl, że zobaczę tego, który ma zostać moim mężem.

Gdy parowiec wpuł na zatoki Blackwater, ojciec mój z dumą pokazał mi ulęszczenia, jakie powstały pod jego kierunkiem: hotele, teatry, renowaty, wille, ciągnące się wzdłuż wybrzeża, i elektryczne koleje, wiodące na szczyty gór.

— Widzisz! — zawołał — powiedziałem, że zakotłuje się na tej starej wyspie.

Na kamiennem molo, głęboko w morze wchodzącym, tłumy osób oczekiwały przybycia statku.

— To jeszcze nie — rzekł mój ojciec — w porównaniu z tem, co się tu dzieje w pełni sezonu.

Gdyśmy wylądowali, czterech mężczyzn zbliżyło się do nas, a mnie serce drgnęło na myśl, że jeden z nich może być moim przyszłym mężem. Ale nie było go, natomiast najstarszy, w którym poznałam opiekuna lorda Raa, przemówił do mego ojca:

— Jego lordowska mość najmocniej przeprasza. Ważny interes stanął mu na przeszkodzie; obiecuje sobie za to intro pospieszyć na powitanie państwa do domu łaskawego pana.

Dwaj drudzy panowie byli to doradcy prawni lorda Raa i mego ojca, a czwartym mój drogi Ojciec Dan, który ku memu wielkiemu zdziwieniu wydał mi się jakimś zwyczajniejszym człowiekiem, niż go sobie wyobrażałam; ot, takim sobie pospolitym, wiejskim proboszczem; tylko uśmiech jego dobrośliwy i głos o łagodnem, śpiewnem, irlandzkim brzmieniu po dawnemu chwycił mnie za serce.

— Niech cię Bóg błogosławi, dziecko, — rzekł. — Jak ładnie wyrosłaś! I jakaś podobna do swojej świętej pamięci matki. Wiedziałem, że Najświętsza Panna będzie się tobą opiekowała.

Pożegnawszy biskupa i tamtych panów, wsiedliśmy we trójkę z Ojcem Danem do wspaniałego samochodu, który na nas oczekiwał, a przez całą drogę ojciec mój o niezeminnem nie mówił, tylko o tem, czego dokonał i o świetnościach, jakie mnie czekają.

— Będiesz pierwszą osobą na wyspie, moja panno; ci wszyscy, którzy kiedyś zadzierali nosa, uważając się za coś wyższego odemnie, będą się nam teraz nisko kłaniać; zobaczysz, zlecą się do nas, jako pszczoły do garnka z miodem!

Tryumfujący nastrój ojca i mnie się udzielił i z rozkoszą przyglądałam się miejscu, związanym ze wspomnieniami mego dzieciństwa, choć wszystko wydawało mi się jakieś mniejsze, węższe lub niższe, aniżeli niegdyś, wszystko, wyjąwszy naszego domu, który był przebudowany i powiększony do niepoznania.

— Co? — rzekł mój ojciec — Pańska rezydencya! Pokażę ci to wszystko jutro.

Ciotka Brygida (w białym czepeczku na siwych włosach i w okularach), Betsy (wysoka, tęga, wystrojona z prowincjonalnym szykiem), Nussy Mac Leod (przedwczesnie zwiedła a pozująca na dziewczeczkę) czekały przed otwartą bramą i przyjeły mnie z zadziwiającą serdecznością.

— No, nareszcie przyjechała — rzekła ciotka Brygida.

— Całe szczęście! — rzekła Betsy.

Zaczęły obie rozpltywać się nad moją powierzchownością, poczem Nussy zaprowadziła mnie do mego pokoju.

— To ten sam pokój, Mary — zawołała za mną ciotka, gdy m szła po schodach. — Kiedy tu wszystko przemieniono, przypomniała mi się twoja biedna matka i nie pozwoliłam na żadną zmianę.

Istotnie pokój był takim, jakim pozostał w mojej pamięci, i już po raz pierwszy w życiu zaczynałam odczuwać wdzięczność dla ciotki Brygidy. gdv Nussy rzekła:

— To wcale nie jej zasługa. Gdyby była mogła, była by zatarła wszystkie ślady istnienia twojej matki i swoją córkę podstawiła na twoje miejsce w tem małżeństwie.

Z dalszej gadaniny Nussy wywnioskowałam, że mój ojciec był obecnie jej bożyszczem, i że moja ciotka i kuzynka nie były wcale zadowolone z mego powrotu. Odeszła wreszcie i wtedy dom rodzinny zaczął przemawiać do mnie błogosławionym, drogim szeptem wspomnień.

Och! Jak mi serce biło! Jak wszystko, na co spojrzałam, budziło najdroższe i najświętsze echa w mej duszy!

Otworłam okno i wciągałam w piersi słońce, jedne powietrze ojczystej wyspy; poczem, zdąwszy kapelus z pobiegłam na dół, naprzód na podwórze, do obór, do kuchni, czeładzi, a wreszcie do ogrodu, gdzie Tommy Majtek pracował po dawnemu.

Staruszek poznał mnie natychmiast, a jego naiwne wykrzykniki uszczęśliwienia z mego widoku i zachwytów nad moją urodą były pierwszym szczerem powitaniem, jakie mnie w rodzicielskich progach spotkało.

Byłabym się chętnie wdała w gawędę z Tommym, ale ciotka Brygida zawołała na mnie przez okno, że mi „zaparzyła“ własnoręcznie herbatę, wróciłam więc do pokoju, gdzie Betsy przez godzinę opowiadała mi o Lordzie Raa, jego urodzie, dystyngowanem obejściu i ogólnych zaletach.

— Musisz umierać z ciekawości zobaczenia go — dodała.

Zobaczyłam go nazajutrz. DCN.

Wiadomości literackie.

Z literatury polskiej.

NARCYZ HR. OLIZAR, „Pamiętnik Oryginała“. Do druku przygotował i przedmową opatrzył Henryk Piątkowski.

Przed kilkudziesięciu laty „Pamiętnik Oryginała“ był jedną z bardzo czytanych książek. Złożyła się na to i ta okoliczność, że wydawano go za granicą, choć nie można zaprzeczyć jego pierwszorzędnym kwalifikacyom literackim. Obecnie wydano go po raz pierwszy w